ZNOWU RAZEM

DOBRZE BYŁO NA WAKACJACH, ale przecież wszyscy już zatęsknili do swoich koleżanek i kolegów, do swojej szkoły. Mocny uścisk dłoni, wesoły uśmiech i — „cześć", „dzień dobry", „co słychać?"

Wszyscy się trochę zmienili podczas wakacji na pewno na lepsze. Stare kłótnie w klasie, zeszłoroczne „draki" poszły w zapomnienie. Zaczyna się nowy rozdział: rok szkolny 1967/68. Znowu jesteśmy razem: Wy, Wasi nauczyciele i „Świat Młodych", który wszystkich gorąco i serdecznie pozdrawia. Powodzenia, dziewczynki i chłopcy!

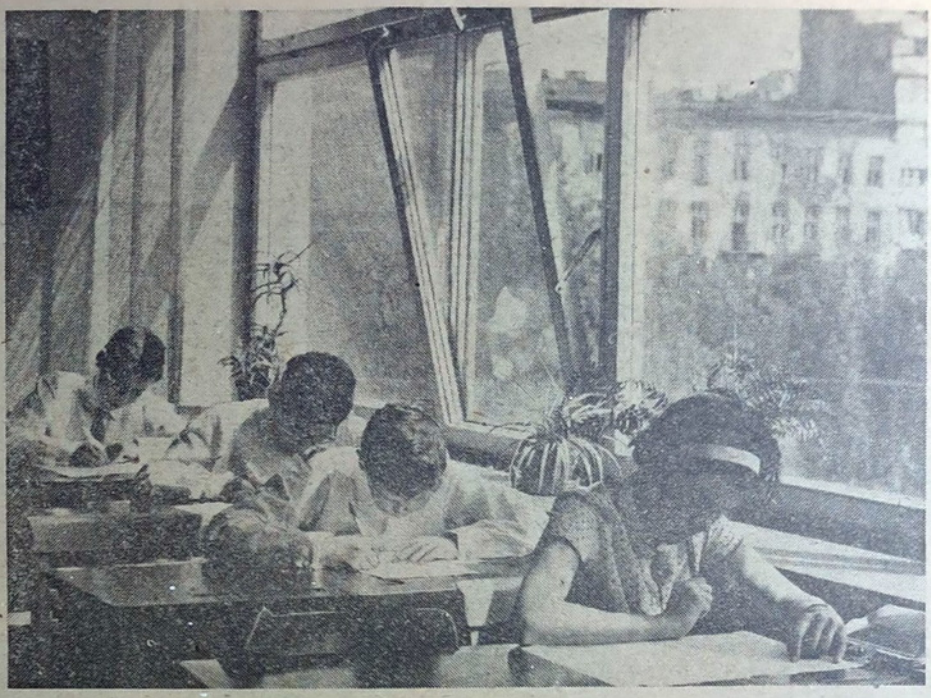

Foto: Kazimierz Czapiński

Świat MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

Nr 71 (1645) Warszawa, wtorek, 5 września 1967 r. Cena 50 gr

BOGATE SĄ TRADYCJE LOTNICTWA NASZEGO

Pierwsze polskie skrzydła

Na wielkiej łące, należącej do stadniny koni w Janowie Podlaskim, wznosi się dziwne rusztowanie wykonane z solidnych drągów i desek. Gdyby ktoś dzisiaj ujrzał taką konstrukcję, pomyślałby, że jakiś fantasta lotów narciarskich wykonał tu sobie skocznię. Obiekt ten miał jednak zupełnie inne przeznaczenie. Służył malarzowi Czesławowi Tańskiemu do przeprowadzania eksperymentów z wielkimi latawcami.

Mistrz stoi właśnie na szczycie wzniesionego przez siebie rusztowania. Wysoko ponad głową trzyma konstrukcję dużego latawca z długimi skrzydłami. W pewnej chwili zrywa się lekki wiatr i mistrz zaczyna biec po pomoście, jak po równi pochyłej z każdą chwilą nabierając szybkości. Wreszcie odbija się mocno od ostatniej deski i wciąż trzymając latawiec w rękach zawisa w powietrzu. Leci teraz kilka metrów ponad ziemią i wreszcie szczęśliwie ląduje.

— Nieźle — mruczy do siebie Tański. — Przeleciałem 30 metrów. Gdyby wiał silniejszy wiatr, byłby nowy rekord.

Dzieci, które obserwowały lot stojąc opodal rusztowania, z zachwytu aż zaklaskały.

— Pan fruwa jak ptak — odezwał się w pewnej

C.d. na str. 2 i 3

To właśnie zdjęcie otrzymały od Prezydenta Francji generała de Gaulle'a dziewczęta 14 Harcerskiej Drużyny Turystycznej w Gorzowie Wielkopolskim.

Korespondencja z Prezydentem

14 Harcerska Drużyna im. Wincentego Pola w Gorzowie Wielkopolskim znana jest z turystycznych zainteresowań i ciekawych, dobrych pomysłów.

Biorąc udział w konkursie turystycznym „Przez X wieków Polski", harcerki „Wędrującej Czternastki" postanowiły zbierać autografy zasłużonych ludzi w gospodarczym, politycznym i kulturalnym życiu Ziemi Gorzowskiej. Odwiedziły posła na Sejm, mieszkających tu pisarzy, aktorów, działaczy politycznych.

— A gdybyśmy napisały list do Prezydenta Francji? Czytałam, że ma przyjechać do Polski. Okazja, której nie można przepuścić — zaproponowała któregoś dnia Krysia Szmek.

Koleżanki wniosek poparły, Krysia Szmek i Krysia Nawrot wzięły się za pisanie listu.

„Panie Prezydencie!... Cieszymy się bardzo zapowiedzianą wizytą Pana Prezydenta w naszym kraju. Jesteśmy pełne podziwu i uznania dla Pańskiej Osoby Wielkiego Polityka, jak również dla wysokiej kultury i osiągnięć Wielkiego Narodu Francuskiego, które staramy się poznać, ucząc się języka francuskiego. Byłybyśmy bardzo szczęśliwe, gdybyśmy otrzymały podobiznę Pana Prezydenta z autografem".

Na odpowiedź długo nie czekały. Na adres Krystyny Szmek wpłynął list z godłem Prezydenta Republiki Francuskiej, pisany na specjalnym papierze ze znakiem wodnym boga wojny Marsa: „Generał de Gaulle zapoznał się z listem, który Pani i Pani Krystyna Nawrot wysłałyście do niego w imieniu grupy harcerskiej „Wędrująca Czternastka". Prezydent jest wzruszony pozdrowieniami, które wyraziłyście z powodu wiadomości o jego bliskim przybyciu do Polski i upoważnił mnie do podziękowania Wam w jego imieniu. Jego obowiązki nie pozwalają mu na udzielenie autografów, ale z przyjemnością przesyła w załączeniu fotografię. Proszę przyjąć wyrazy wdzięczności. Osobisty Sekretarz".

Sukces ten zrodził postanowienie u harcerek „Wędrującej Czternastki" zdobywać autografy wielkich przedstawicieli innych narodów.

STEFAN KOJŁO

POLSKIE

Napisał ZBIGNIEW PAWŁOWSKI

BRACIA WRIGHT zbudowali pierwszy w świecie samolot, który był posłuszny woli człowieka. Louis Bleriot pierwszy przeleciał kanał La Manche. Hubert Latham ustalił w roku 1909 pierwszy rekord wysokości, wznosząc się na samolocie... 155 metrów ponad ziemię. Jakże odważni musieli być lotnicy, skoro w rok później pilot Geo Chavez, zdecydował się przelecieć ponad szczytami Alp i dokonał tej sztuki, wzbudzając podziw na świecie. Młody lotnik nie mógł się jednak cieszyć swoim sukcesem. Podczas lądowania w dolinie Tocc jego zwycięski samolot uległ awarii, a ciężko ranny pilot zmarł w pięć dni później po swoim wyczynie.

Lista wspaniałych pilotów — pierwszych zdobywców nieba — jest długa. Oto Francuz Maurice Prevost, który pierwszy przekroczył szybkość 200 km na godz. Oto Adolf Pegoud — pierwszy, który odważył się na akrobacje w powietrzu. Data? 19 sierpnia 1913 rok. Szczegóły?... Proszę bardzo. Niewielkie lotnisko w Buc. Jednopłatowiec „Bleriot" z silnikiem „Gnome" wznosi się w powietrze i nagle pilot przewraca maszynę na plecy i pędzi głową w dół, by w kilka sekund później wykonać... looping, czyli martwą pętlę. Obsługa lotniska patrząc z ziemi na te sztuczki zamiera z przerażenia. Wszyscy myślą, że pilot stracił przytomność i samolot wyczynia cuda pod wpływem wiatru. Ale maszyna nie spada na ziemię. Pilot ląduje po mistrzowsku i uśmiecha się do zebranych...

Wśród tych pierwszych pionierów lotnictwa nie brakowało i naszych pilotów. Ich start odbywał się w o wiele trudniejszych warunkach niż w jakimkolwiek innym kraju, nikt bowiem nie był zainteresowany w ich sukcesach. Kraj był rozdarty rozbiorami, a rządy zaborców nie budziły inicjatywy w tym kierunku, a wprost przeciwnie — tłumiły każdą polską myśl lotniczą...

Jeden z pierwszych naszych szybowców „Bydgoszczanka" wykonany przez braci Działowskich w roku 1925.

Ciąg dalszy ze str. 1

chwili najstarszy z chłopców.

— Przyjdzie czas, że wzniesiesz się w niebo wyżej ode mnie — rzekł do chłopca Czesław Tański i zaczął się ponownie wspinać na rusztowanie, aby oddać kolejny skok...

A gdyby śmigło

Czesław Tański był malarzem. Malował przede wszystkim konie i, kiedy po ukończeniu nauki otrzymał od dyrektora stadniny w Janowie Podlaskim propozycję wykonania szeregu szkiców pięknych rasowych koni — nie odmówił. Przyjechał ze sztalugami i paletą. Równocześnie jednak Tański był wielkim entuzjastą powietrznych lotów. Obserwując loty ptaków i owadów zapragnął stworzyć aparat, który wzniósłby człowieka w górę. Przyjechawszy do Janowa postanowił swoją śmiałą myśl zrealizować. Pracę rozpoczął od prób z wielkimi latawcami. Uczepiony do nich odrywał się od ziemi, by pofrunąć w dal. Loty wykonywał właśnie ze specjalnego rusztowania i czasami udawało mu się przelecieć kilkadziesiąt metrów. Nic więc dziwnego, że Czesława Tańskiego uważa się dziś za prekursora szybownictwa.

Po serii prób z latawcami Tański doszedł do wniosku, że jego loty byłyby o wiele bardziej atrakcyjne, gdyby udało się stworzyć mechanizm popychający w powietrzu konstrukcję naprzód. W ten sposób zrodziła się w jego umyśle idea zastosowania w machinie latającej... śmigła. I oto w roku 1894 Tański buduje w Janowie Podlaskim, wraz z miejscowym stolarzem, pierwszy w Polsce samolot. Jest to niewielki jednopłat zrobiony z suchego drzewa topolowego i z prętów wiklinowych. Konstrukcja posiadała dość długie płaty, czyli skrzydła. Śmigło natomiast znajduje się za tylną krawędzią płatów. Cały model jest pokryty mocnym papierem impregnowanym. Rzecz jasna, nie znano wtedy jeszcze silników benzynowych, więc śmigło obracały skręcone sznurki gumowe.

Niestety, próby z modelem nie przebiegały

Ciekawe

MISTRZ OLIMPIADY

Janek Kojzar jest Czechem, mieszka w Żihobicach, chodzi do siódmej klasy. Ale już w 11 roku życia nauczył się na pamięć potęgowania do 100 i opanował materiał matematyczny szkoły średniej. W tym roku po raz pierwszy wziął udział w olimpiadzie matematycznej. Współzawodnicząc z 15-letnimi uczniami, zdobył prawie 4 razy więcej punktów, aniżeli wynosiła średnia osiągnięta przez 37 finalistów.

Ciekawe

SPECJALIŚCI I SAMOLOT

Na zaprojektowanie nowoczesnego myśliwca zużywa się ponad 5 milionów godzin. Przy pracach konstruktorskich zatrudnionych jest około 500 inżynierów najprzeróżniejszych specjalności. Współczesny myśliwiec ma na pokładzie do 150 tysięcy różnych części, w tym kilkanaście tysięcy lamp radiowych, kondensatorów, oporników itp. Dla wyszkolenia lotnika prowadzącego współczesny samolot potrzeba ponad 400 godzin lotów ćwiczebnych.

Pierwszy polski samolot skonstruowany przez Czesława Zbierańskiego i inż. Ciwińskiego, w roku 1911.

SKRZYDŁA

pomyślnie. Śmigła obracały się wprawdzie z szaloną szybkością, ale ich siła ciągu była za słaba. Biorąc jednak pod uwagę ówczesny stan rozwoju myśli lotniczej trzeba stwierdzić, że model Tańskiego był bardzo oryginalny.

Mięśniolot i śmigłowiec

Czesław Tański eksperymentował w dalszym ciągu. Poszukiwał wciąż nowych koncepcji, ażeby przedłużyć w powietrzu lot płatowca. A gdyby tak spróbować kręcić śmigło nogami siedząc w samolocie?... W ten sposób Tański wymyślił mięśniolot. Ale i ta koncepcja zawiodła. Choć człowiek obracał przekładniami ze wszystkich sił, nie zdołał „wznieść" płatowca w górę ani utrzymać go w locie.

Mijały lata. Tański podróżował po Europie, wreszcie osiadł na stałe w Warszawie. Nigdy nie zerwał z lotnictwem. Wymyślał coraz to nowe aparaty. Skonstruował między innymi pierwszy w naszym kraju śmigłowiec, zwany wówczas śrubowcem. Próby przeprowadzał najpierw z modelami, które osiągały znaczne wysokości w lotach pionowych. W roku 1907 konstruuje już duży śrubowiec. Odznaczał się on bardzo prostą budową, miał dwa wirniki — przeciwbieżnie osadzone na jednej osi, wprawiane w ruch ręczną korbą.

W okresie międzywojennym Tański jest znanym działaczem lotniczym. Opracowuje modele samolotów i śmigłowców, pragnie założyć Muzeum Lotnictwa, ale wojna przerywa jego działalność. W roku 1942 Czesław Tański umiera, w wieku 79 lat. Aeroklub PRL, oceniając jego pionierskie zasługi ustanowił w roku 1959 medal imienia Czesława Tańskiego. Medal ten jest przyznawany pilotom szybowcowym za wybitne osiągnięcia sportowe.

Wynalazki pana Boratyniego i innych

Tański nie był jednak prekursorem podniebnych lotów. Za panowania Króla Władysława IV imć pan Łukasz Piotrowski unosił się w powietrze na wynalezionych przez siebie skrzydłach. Zachowały się też wzmianki o góralu Wojciechu Kułasze z Bliczarowa, który wymyślił „machinę" do latania, przy pomocy której oddawał skoki z wysokich szczytów górskich. Jan Wnęk, cieśla z Kaczówki, oddawał skoki na skrzydłach z wieży kościoła w Odporyszewie. Działo się to w roku 1867...

Największą jednak sławę pioniera podniebnych lotów zdobył Tytus Liwiusz Boratyni, którego machinę latającą widział na własne oczy i opisał w roku... 1682 Anglik Simon. Również znani uczeni drugiej połowy XVII wieku wspominają w swoich pracach naukowych wynalazki latające Boratyniego, zamieszkałego w Krakowie. Wydaje się więc nie ulegać wątpliwości, że latające machiny, zwane też latającymi smokami rzeczywiście istniały.

Według zachowanych do dziś źródeł, miały to być machiny cięższe od powietrza, składające się z ośmiu skrzydeł, zbudowanych na wzór skrzydeł nietoperza. *„Cztery z ośmiu skrzydeł miały służyć jedynie do podtrzymywania aparatu, musiały więc być chyba nieruchome i wyłącznie miały grać rolę płatów nośnych . według dzisiejszych pojęć. Dalsze dwa miały podtrzymywać aparat i jednocześnie nadawać mu ruch postępowy, a zatem były ruchome, tak jak ostatnie dwa na przodzie aparatu, mające służyć wyłącznie do poruszania go naprzód, tzn. miały grać rolę dzisiejszych śmigieł".* (opis wed'ug E. Jungowskiego).

Niektóre z dawnych opisów mówią, że machina posiadała spadochron, który mógł być uruchomiony w razie awarii skrzydeł. Natomiast pod aparatem oprócz kół była też umieszczona łódka na wypadek, gdyby trzeba było lądować na wodzie.

Najwięcej kontrowersji przysparza historykom opis działania mechanizmu unoszącego machinę w powietrze. Otóż według listu słynnego uczonego holenderskiego — Christaiana Huygensa — do znanego podróżnika francuskiego Melchissedeca Thevenot — *„model wznosił się w powietrze za pomocą sznurka wychodzącego z ogona. Sznur ten miał poruszać mechanizmy wewnątrz smoka, utrzymujące maszynę w powietrzu tak długo, jak długo wprowadza je w ruch".*

Słynne latające smoki pana Boratyniego miał też oglądać sam Cyrano de Bergerac, pisarz francuski, który był w Polsce, towarzysząc księciu Louis d'Arpajon — ówczesnemu ambasadorowi Francji w Warszawie. Pisarz oglądał machiny, obserwował ich start. Nasunęły mu one nawet pomysł napisania fantastycznej powieści pt. „Podróż na księżyc".

W Piotrkowie Trybunalskim i nie tylko...

Jednym z największych teoretyków idei lotniczej był wielki nasz uczony Stefan Drzewiecki (1844—1938). Z jego prac naukowych czerpali wiedzę

Latający smok Boratyniego

nieomal wszyscy konstruktorzy pierwszych samolotów na świecie. Duży wkład w teorię lotów wnieśli też: profesor Roman Gostkowski, Władysław Gosierski, Edmund Libański... To właśnie dzięki nim idea lotnicza nie była w Polsce obca — a wprost przeciwnie, zapalała coraz to więcej śmiałych umysłów...

Jest rok 1911. W Piotrkowie Trybunalskim, w miejscowym gimnazjum, grupa uczniów już od wielu tygodni każdą wolną chwilę spędza w opuszczonym baraku, za miastem. Tylko najbardziej wtajemniczeni wiedzą, że w pomieszczeniach baraku powstaje dwupłatowy szybowiec o rozpiętości skrzydeł 10 m i powierzchni nośnej 26 m kw. Wnętrze baraku wygląda jak wielka stolarnia. Po dwóch latach szybowiec jest gotowy do startu. Chłopcy otwierają wrota i pchają swojego ptaka na pobliską górkę... Tam doczepiają do szybowca grubą linkę, której drugi koniec trzymają jeźdźcy na koniach... Jeden z chłopców zajmuje miejsce za sterem. Wreszcie następuje start: konie pędzą z góry i szybowiec podskakuje po nierównościach, wreszcie unosi się w górę. Leci! W pewnej jednak chwili, widocznie wskutek błędów konstrukcyjnych albo też błędu w pilotażu — sztuczny ptak spada na ziemię. Na szczęście pilot wychodzi z lekkimi obrażeniami, natomiast szybowiec jest poważnie uszkodzony. Na pewien czas uczniowie musieli zawiesić swoje próby...

W roku 1908 powstają pierwsze szkoły lotnicze we Francji. Kierują nimi znani piloci: Bleriot i Farman. Do tych szkół spieszą entuzjaści lotnictwa z całego świata. Są wśród nich Polacy, jest ich wielu. Są znakomitymi pilotami — biją rekordy przelotów i rekordy wysokości — a jeden z nich — Bradel — został wysłany do Brazylii, Argentyny i Chile w celu zorganizowania w tych krajach szkół lotniczych...

◆

Kiedy dziś zobaczymy na bezchmurnym niebie szybki jak błyskawica — wielokrotnie przekraczający szybkość dźwięku, polski samolot, pomyślmy przez chwilę i o tych, którzy latali 60 lat temu na dziwacznych aparatach i też bili rekordy swoich czasów. Gdyby nie ci pierwsi entuzjaści — nie byłoby chyba tych dzisiejszych wspaniałych zdobywców nieba. Trzeba o tym wiedzieć.

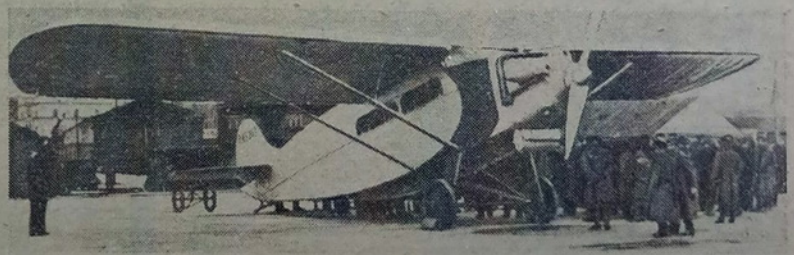

A oto pierwszy polski samolot pasażerski PWS-20 zaprojektowany przez profesora inż. Z. Ciółkosza w roku 1929. Fot. CAF

WITAJ, SZKOŁO!

Piętnaście lat to dość długi okres, który pozostawił każdemu z nas wiele niezapomnianych kiedyś wspomnień.

Wiele czytałem wypowiedzi ludzi dorosłych, którzy już dawno skończyli szkołę, ale twierdzą, że zawsze będą ją pamiętać.

Myślę, że są to słuszne słowa i chyba nie pomylę się, gdy będę mówił to samo. Bo cóż może być piękniejszego od wspomnień początków nauki, od tych pierwszych miesięcy, gdy to 7-letnie maluchy, nie mające do tej pory większych obowiązków, przekraczają próg nowego budynku.

Pierwsze poznanie kolegów, koleżanek i nauczycieli, z którymi przeżyją kolejne osiem lat nauki.

Poznają obowiązki szkolne i wspólnie będą oczekiwać z ciekawością każdego następnego dnia, i tak przez wiele lat aż do ostatnich egzaminów.

Pamiętam jak dziś wrzesień, kiedy rodzice przyprowadzili nas do znanej jedynie z opowiadań szkoły.

Było w tym trochę strachu, więcej natomiast ciekawości. Wielu bohatersko zniosło rozstanie z mamą. Później każdy nowy dzień okazywał się lepszy, bogatszy w zdarzenia.

U nas do powstania serdecznej atmosfery przyczyniła się długoletnia wychowawczyni naszej klasy. To ona zorganizowała dodatkowo kółko artystyczne, by wpajać w nas piękno literatury polskiej.

Dziś, kiedy zaczynamy nowy rok, życzę wszystkim, aby znaleźli w swojej szkole przyjaciół. Przyjaciół wśród kolegów i nauczycieli. (rj)

Waldek B.
Wąchock

Moje wymarzone wakacje

WŚRÓD DINO-ZAURÓW

Pewnego dnia przyszedł do nas wujek. Zapytał mnie, czy chciałbym odwiedzić dziadka. Moja odpowiedź brzmiała krótko: — Tak.

Wtedy wujek powiedział, że jutro jedzie do dziadka na swoim wynalazku. Bardzo mnie interesowało, co to za wynalazek, ale wujek powiedział, że to niespodzianka.

Następnego dnia rano wuj przyjechał na wozie o kołach kwadratowych. Wóz był zaprzęgnięty w oswojonego niedźwiedzia jaskiniowego. Uścisnąłem matkę i wziąwszy łuk wskoczyłem na ten dziwny wehikuł. Gdy już odjeżdżaliśmy, moja matka krzyknęła:

— Nie próbuj głaskać brontosaurusa!

Myślałem, że mama żartuje, ponieważ tata mówił, że ostatni raz widział brontosaurusa, gdy miał pięć lat. Później okazało się, że to nie były żarty.

Jechaliśmy dwa dni. Trzeciego dnia, wieczorem, usłyszałem okropny ryk. Zaraz potem rozległ się głos wujka: — Zsiadaj! Zeskoczyłem. Wujek odwiązywał niedźwiedzia. Po chwili chwycił mnie za rękę i wciągnął w zarośla, po czym przywołał niedźwiedzia. Gdy chciałem zapytać co się stało, wujek szepnął: — Bądź cicho! — i po chwili dodał — brontosaurus. Ostatnie jego słowa zagłuszył ryk. Siedziałem spokojnie i czekałem aż ryki ustaną. Nastąpiło to po dość długim oczekiwaniu.

Wygramoliliśmy się więc z kryjówki i stwierdziliśmy, że wóz jest cały.

O świcie byliśmy u dziadka. Dziadek przywitał nas serdecznie. Następnie wprowadził do swojej jaskini i poczęstował wodą oraz mamucim mięsem. Po takim posiłku poczułem się świetnie. Wyszliśmy przed jaskinię i wtedy zapytałem wujka, dlaczego przy jego wozie są kwadratowe koła. Wujek powiedział, że koła kwadratowe nie pozwalają, aby wóz zjeżdżał bez potrzeby z góry. Dziadek pochwalił wynalazek wujka. Następne dni dziadek poświęcał opowiadaniom o wielkich zwierzętach, na które dzisiaj ludzie boją się polować. Uczył mnie także odróżniać ślady tych zwierząt oraz poznawać je po głosie. Kilka razy widziałem dinozaury idące do wodopoju, ale nie podchodziłem do nich bliżej.

Po 70 nocach przespanych u dziadka wujek oznajmił, że musimy odjeżdżać. Było mi bardzo smutno, usłyszałem jednak, że jeśli tylko zechcę, to na następne lato przyjedziemy tutaj znowu. (bs)

KRZYSIEK ARAS
Z KRAKOWA

CZWÓRBÓJ W KRATERZE

Tegoroczne wakacje z pewnością na długo zostaną mi w pamięci. Po raz pierwszy spędziłem je na innych planetach. Pierwszym celem mojej wędrówki był Księżyc. W podróży szybkolotem towarzyszył mi kolega jadący na Czwórbój „Świata Młodych" i pies Azor — mój nierozłączny przyjaciel. Na Księżycu chciałem odwiedzić moją babcię i obejrzeć zawody.

Na strychu wulkodomu babci wyszperałem kilka wiadomości o uczniach z 1967 r. Zapisane one były na pożółkłych kartkach. Trudne życie mieli moi koledzy. Ciągle tylko uczyli się. Teraz, czyli w roku 2079, to zupełnie co innego! Jeśli ma się

rozum za mały na swój wiek, idzie się do rozumologa i wymienia się go na większy lub zmienia niektóre przetarte części. Ja obecnie noszę nr 14 — rozum odpowiadający czternastolatkom.

Na strychu przeczytałem też kilka numerów „Świata Młodych" sprzed 100 lat. Pismo było nie mniej interesujące niż dziś. Jedynie w dzisiejszym „Świecie Młodych" zmieniły się tematy reportaży i artykułów. Nie ma „Przygód pana Paska" tylko „Wielka afera kosmourwisów z Jowisza". Tytus ukazuje się nadal. Od babci dowiedziałem się, że te pisma zbierał jej pradziad.

Na drugi dzień odbyło się otwarcie finału Czwórboju „Świata Młodych". Zawody odbywały się na pięknym stadionie zbudowanym w jednym z największych kraterów Księżyca. Zawodnicy z 49 państw spisywali się bardzo dobrze. Emocji było niemało. Niestety, dłużej na Księżycu zostać nie mogłem.

Udało mi się złapać za pomocą kosmostopu szybkolot jadący na Posejdona — sztuczną planetę. Przez kilka minut widzieliśmy jeszcze Księżyc — Ocean Burz, nowe osiedla. W oddali zarysowały się kontury Posejdona. Posejdon to wielki ośrodek sportowy. W tym roku będą odbywały się tam igrzyska olimpijskie. Po godzinie i 46 minutach znaleźliśmy się na Posejdonie. Zdziwiłem się bardzo, gdyż miałem wrażenie, że znajduję się na Ziemi. Rosły tam drzewa, trawa, kwiaty.

Gdy tylko wysiadłem z szybkolotu, wstąpiłem do sklepu z artykułami dla psów. Zakupiłem tam nową porcję kości-patykowców sprowadzanych z Jowisza specjalnie dla psów. Azor już na Księżycu wyjadł cały zapas i w czasie podróży głodował. Także na Posejdonie musiałem oddać do naprawy robota. W czasie śniadania pomylił mnie z psem Azorem i podał mi kości patykowców, których ja oczywiście nie jadam, a Azorowi dał moje pyszne śniadanie. Jednak źle go zreperowano. Z góry więc przepraszam za brzydkie pismo i błędy ortograficzne w moim liście.

KRZYSZTOF AMBROZIŃSKI
z Warszawy

Pepesza dzielnego „Mariana" z rozbitym podczas walki zamkiem znajduje się w Muzeum Wojskowym w Bratysławie. Dawny partyzant, Marian Malik, żyje i pracuje dziś w Skarżysku, woj. kieleckie.

Zanim opowiemy wam o partyzanckich przygodach „Mariana", warto odnotować kilka zdarzeń, z jego wojennego życiorysu. W 1941 wywieziony zostaje ze Skarżyska na roboty przymusowe do Niemiec. Pewnego dnia, kiedy „urwał się" z pracy na miasto, zostaje aresztowany przez policję i wsadzony do więzienia. Podczas bombardowania Lipska przez samoloty amerykańskie zostaje rozbite więzienie i „Marian" ucieka. W pociągu, jadąc oczywiście na gapę, spotyka grupę Słowaków wracających do domu z robót sezonowych. Dociera z nimi na Słowację. Tu znów wpada w ręce policji, która przydziela go do przymusowej roboty we wsi Dolne Jaseno.

Pierwsza zasadzka

Pewnego marcowego dnia 1944 roku „Marian" za pozwoleniem swego gospodarza poszedł na zabawę, nie tyle żeby potańczyć, ale zasięgnąć języka wśród ludzi. Od dłuższego bowiem czasu słyszał o partyzantach działających w pobliskich górach.

Tatrzańskie ście

Podczas ostatniej wojny nie było frontu, na którym nie walczyliby Polacy. Okryli się chwałą bojową pod Narwikiem i Lenino, Monte Cassino i Tobrukiem, w bitwie o Anglię i na Wale Pomorskim, w szturmie Berlina i spiesząc z pomocą stolicy Czechosłowacji — Pradze. Były jednak i inne fronty, nie tak może głośne jak tamte, ale również dające się dobrze we znaki faszystom. To fronty partyzanckie — na francuskiej ziemi i w Jugosławii, na ziemi radzieckiej, w Polsce, Czechosłowacji... Na żadnym z tych frontów również nie brakło Polaków.

Dziś opowiemy wam o 18-letnim chłopcu ze Skarżyska, który przed 23 laty znalazł się w górach Słowacji i zasłynął jako partyzant „Marian".

...ki PARTYZANTÓW

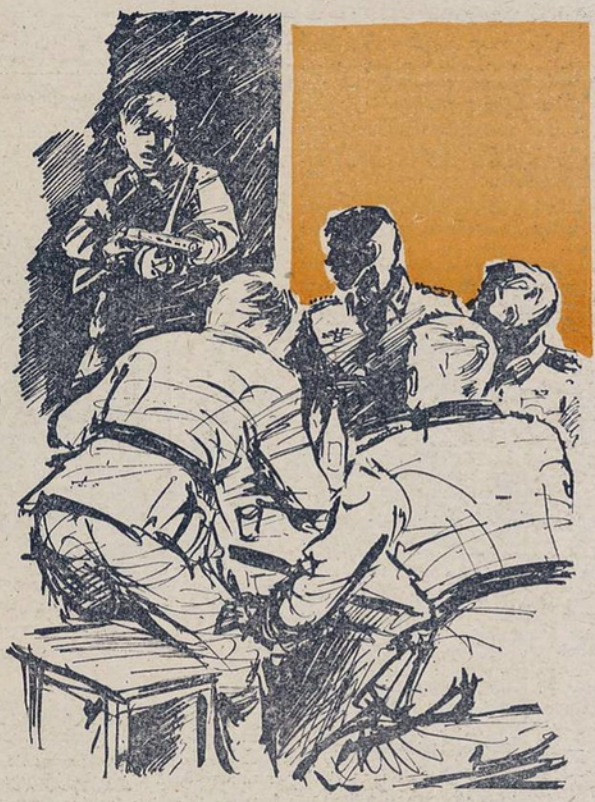

Rys. J. Rocki

Szczęście spotkało go większe, niż mógł sobie wymarzyć — o zmroku zjawili się pod salą dwaj partyzanci radzieccy. Szybka wymiana zdań, kontakt na jutro — w górach.

Nazajutrz prysnął w Niskie Tatry. Partyzantów jednak w umówionym miejscu nie znalazł. Błądząc po górach, natknął się na dwóch Słowaków, którzy również chcieli do partyzantów.

— Bez broni mogą nas nie przyjąć — zauważył Marian.

Poszli we trzech do pobliskiej wsi i odebrali nauczycielowi, który był zaufanym faszystów, sztucer i dubeltówkę. Następnie urządzili zasadzkę na policjanta. Udało się, teraz cała trójka miała już broń. Na partyzantów natknęli się w Jaseńskiej Dolinie. Stała tu obozem brygada im. gen. Milana Stefanika.

Tak oto „Marian" wszedł na partyzanckie ścieżki...

Bojowy chrzest

Któregoś dnia zwiad brygady doniósł, że szosą łączącą Zaźriwę z Parnicą jadą SS-mani. Komisarz oddziału wziął ze sobą „Mariana" i jeszcze jednego partyzanta i we trójkę ukryli się w zaroślach na zboczu góry. Wkrótce nadjechały dwa samochody — osobowy i ciężarowy. Partyzanci obrzucili wozy granatami. Reszty dokonały serie z pistoletów maszynowych. Żaden z SS-manów nie uszedł z życiem. Trójka partyzantów wróciła do obozu obładowana zdobyczną bronią. Dla „Mariana" akcja ta była bojowym chrztem partyzanckim.

Pod koniec sierpnia 1944 roku na Słowacji wybuchło powstanie przeciwko faszystom. Dowództwo brygady wysyła oddział, liczący 380 ludzi, w którym jest „Marian", do miasteczka Wrutki w celu zlikwidowania znajdujących się tam dwóch grup hitlerowskich. Przez zaskoczenie zlikwidowano 27 Niemców stanowiących załogę stacji. Drugą grupę okrążyli w trudnym do zdobycia hotelu. Dopiero po pięciu godzinach ciężkiej walki, używając broni przeciwpancernej i granatów partyzanci pokonali opór wroga.

Na stanowisku dowodzenia

Po udanej akcji we Wrutkach, oddział otrzymuje rozkaz obsadzenia góry w pobliżu Streczna, nad rzeką Vah. Dowództwo spodziewało się bowiem odwetu Niemców. Partyzanci postanowili więc wyjść im naprzeciw.

„Marian", jeden z najmłodszych partyzantów w oddziale kpt. Marczuka, otrzymuje rozkaz, aby na czele 30 ludzi obsadził wylot tunelu kolejowego i szosę. Inne grupy miały zająć stanowiska wzdłuż szosy i kolei, na całym odcinku łańcucha górskiego od tunelu do Wrutek.

Po zajęciu stanowisk rozpoczął „Marian" obserwację. W pewnym momencie dostrzegł przez lornetkę 3 samochody pełne hitlerowców. Na przodzie auto osobowe. Kiedy samochody znalazły się blisko stanowisk partyzanckich, „Marian" dał rozkaz — Ognia! Zagrzmiały serie strzałów, świsnęły ze zbocza granaty. Auto osobowe stanęło w płomieniach. Z całej niemieckiej eksedycji tylko jednemu oficerowi wraz z dwoma żołnierzami udało się ukryć w zaroślach. Wnet jednak dali o sobie znać otwierając ogień z broni maszynowej. „Marian" traci dwóch ludzi, trzeci zostaje ranny. Partyzanci okrążają kryjówkę faszystów, biorąc ich do niewoli.

Na południowe tereny Słowacji objęte powstaniem. Podczas przeglądu zgrupowanych w Detwie oddziałów, „Marian" defiluje przed trybuną honorową już jako lejtnant i dowódca oddziału liczącego 114 partyzantów.

Późną jesienią następuje podzielenie brygady na mniejsze oddziały. Mają one prowadzić teraz walkę na własną rękę, nękając mniejsze zgrupowania nieprzyjacielskie.

Cztery kule

„Marian" wyrusza ze swoimi chłopcami do Blatnickiej Doliny, skąd dokonuje dalekich wypadów na ugrupowania niemieckie kwaterujące we wsiach i osadach. W jednej z akcji w Blatnickiej Dolinie w potyczce ze zwiadem niemieckim zostaje po raz pierwszy ranny. Dostał w prawy bok cztery kule z automatu.

Początkowo umieszczono go u miejscowego młynarza, skąd nazajutrz chłopcy z jego oddziału przenoszą go do stodoły jednego z gospodarzy we wsi Bela. Na drugi dzień zjawiają się we wsi hitlerowcy. „Mariana" ukryto w stajni, przysypując słomą. Faszyści przeprowadzają dokładną rewizję w całej wsi, obiecują nagrodę za wskazanie partyzanta. Wszystko na nic.

Tymczasem stan zdrowia „Mariana" jest coraz gorszy. Towarzysze przewożą go więc do szpitala w Turcziańskim Martinie. Ponieważ szpital obsadzony był przez hitlerowców, umieszczono go na sali kobiecej. Będąc jednak ciągle w obawie, że go Niemcy odkryją, „Marian" wnet opuszcza potajemnie szpital. Po przejściu siedmiu kilometrów utracił jednak siły i zatrzymał się w Górnym Jasenie, gdzie przygarnęła go Wiera Prynarowa. Wiera pracowała na poczcie i wiedziała, kiedy hitlerowcy przyjeżdżają do wsi, mogła go więc zawsze w porę odpowiednio ukryć. Ponadto Wiera potrafiła robić opatrunki.

Po trzech tygodniach „Marian", nie wyleczony jeszcze z ran, udaje się przez śnieżne zaspy do Blatnickiej Doliny, gdzie stacjonował jego oddział. Nareszcie znalazł się wśród swoich chłopców.

Partyzant się nie poddaje

W kilka dni później Niemcy przypuścili szturm, usiłując zdobyć górę Streczno. Rzucili do walki samoloty, jednostki pancerne i piechotę. Walka trwała kilka dni. Wobec przewagi wroga, dowództwo zarządza wycofanie się w kierunku Wrutek. Z okrążenia nie udaje się przedostać jedynie grupie „Mariana". Przy kolejnej próbie przerwania zaciskającej się coraz bardziej pętli, partyzanci niszczą wiązkami granatów samochód pancerny i zdobywają dwa samochody z amunicją. Grupa zmniejsza się o sześciu ludzi, ale ma na tyle zdobytej amunicji, że może się jeszcze bronić.

Hitlerowcy, kryjąc się w zaroślach, zaczęli wzywać partyzantów do poddania się. Wówczas „Marian" podniósł w górę automat i z okrzykiem: — „Chłopcy, partyzant nigdy się nie poddaje!" — rzuca się do ataku, podrywając za sobą swoich chłopaków. Znów rozgorzała zacięta walka. Pada w niej 3 partyzantów, reszta przerywa okrążenie i łączy się z brygadą we Wrutkach.

*

W październiku brygada im. Stefanika zostaje przerzucona

Ręce do góry!

Pewnego marcowego dnia „Marian" udał się wraz z partyzantem Jedliczką i Papaszem do Blatnicy po żywność dla oddziału. We wsi dowiedzieli się, że w gospodzie są hitlerowcy, którzy spędzili tam ludzi, aby następnie wywieźć ich do Niemiec.

„Marian" natychmiast ustala plan działania. Rozkazał Jedliczce i Papaszowi zająć stanowiska przy oknach gospody i strzelać do każdego Niemca, który chciałby tędy uciec. Sam, z bronią gotową do strzału, wkroczył śmiało do gospody.

Wystraszony restaurator pokazał mu, że Niemcy są w drugiej sali. „Marian" kopnął drzwi, które o mało nie wyskoczyły z zawiasów. Oczom jego ukazało się jedenastu hitlerowców siedzących wokół stołu, zastawionego butelkami wódki. Salę wypełniał gwar pijackiego szwargotu. Broń stała pod ścianą.

— Haende hoch! — krzyknął.

Niemcy, nie podnosząc rąk, patrzyli na „Mariana" ze zdziwieniem. Krzyknął więc jeszcze raz, czyniąc wiele znaczący ruch pepeszą. Faszyści ufając widocznie w swoją przewagę liczebną, wyraźnie bagatelizowali samotnego partyzanta. Kiedy któryś zerwał się, by chwycić broń, „Marian" pociągnął za spust. Dziewięciu hitlerowców padło na podłogę. Dwóch jednak zdołało otworzyć ogień. Jeden pocisk trafił „Mariana" w rękę, drugi zdruzgotał zamek pepeszki.

„Marian" ma granaty, ale nie może ich użyć, gdyż w sali znajdują się Słowacy. W samą porę nadbiegają — Jedliczka z Papaszem.

Niemcy, bojąc się odwetu, nie mścili się na mieszkańcach Blatnicy. Rozkleili natomiast listy gończe obiecując 10 tysięcy marek nagrody za wskazanie polskiego partyzanta, lub schwytanie i oddanie go w ich ręce.

Hitlerowcy jeszcze kilkakrotnie próbowali atakować oddział „Mariana". Partyzanci odpierali ataki Niemców z dużymi dla nich stratami. W walkach tych zginęło też 17 partyzantów.

25 kwietnia 1945 roku Armia Radziecka wyzwoliła tereny, na których toczył boje oddział „Mariana". W miesiąc później polski dowódca słowackiego oddziału partyzanckiego, liczący zaledwie 19 lat, wrócił z wyzwolonej Słowacji do swojej, również już wolnej ojczyzny.

*

Kiedy odwiedziłem w tym roku Bańska Bystrzycę — stolicę słowackiego powstania, dyrektor Muzeum Partyzanckiego płk Kuchta powiedział mi:

— Wśród wielu Polaków walczących w oddziałach partyzantów słowackich na szczególne uznanie zasługuje Marian Malik, ps. „Marian", partyzant z brygady im. M. R. Stefanika, chłopiec, który zasłynął swym męstwem i odwagą. Zna go cały okręg Martin, a o tym, jak sam poradził sobie z jedenastoma faszystami, ludzie opowiadają sobie do dziś...

JERZY KASPRZAK
foto autora

W muzeum partyzanckim w Bańskiej Bystrzycy zgromadzono wiele ciekawych eksponatów i dokumentów sławiących czyny bojowe partyzantów. Tu właśnie natknęliśmy się na materiały dotyczące działalności Polaków w słowackiej partyzantce.

Gang z ulicy Brzeskiej

24

STANISŁAWA PLATÓWNA

Rys. St. Rozwadowski

Wszedł Orczyk. Rozejrzał się po pokoju i spojrzał na nas baranim wzrokiem.

— Już zdążyliście tyle przygotować? — zdziwił się widząc uprzątnięty regał, zwinięty chodnik i odsunięte fotele.

— To nie my, kmiotku, to nasz uczynny gospodarz — wyjaśnił Szef.

— On? — Orczyk wyciągnął w moją stronę gruby sękaty paluch. — A to ci heca! Dobra jest, Elegancki. Wygrałem dwie paczki żeglarzy.

— Dlaczego? — spytałem podejrzliwie.

— Ewa założyła się wczoraj ze mną i z Lampą, że się zlamiesz. Że z roboty będą nici, bo nie otworzysz nam drzwi. A ty nie tylko wpuściłeś nas do chaty, ale jeszcze przygotowałeś wszystko. Oj, skonam ze śmiechu, a Ewka zdurnieje...

Poczułem, że robi mi się gorąco. Więc Ewa wierzyła, że nie ustąpię, że nie dam się wrobić, że nie złknę się Szefa i jego pogróżek.

— Ona powiedziała: „Elegancki wam pokaże" — Orczyk wyszczerzył wszystkie zęby w głupim uśmiechu.

— Zamknij się — powiedział cicho, ale groźnie Szef. — Nie czas na pogawędki. Saksofon na stanowisku?

— Tak, Szefie, stoi piętro niżej.

— Lampa i Zaskroniec? — pytał dalej Szef.

— Na swoich miejscach. Lampa w bramie, Zaskroniec na czwartym.

— Ewka w domu?

— Tak. Puściła radio na cały regulator.

— W porządku. Zaczynamy.

Gwoździki dały się łatwo wyjąć. Misiek i Ślusarz podtrzymywali zsuwającą się ze ściany matę.

— zwinąć — ale porządnie — mruknął Szef.

Patrzyłem jak zahipnotyzowany na drzwi, które ukazały się po zdjęciu maty. Za chwilę Ślusarz je otworzy. Wyjął właśnie narzędzia z kieszeni i wsunął wytrych w zamek. Rozległo się delikatne chrobotanie. Spojrzałem na „kozaków", Misiek miał nienaturalnie rozszerzone oczy i ciemne wypieki na policzkach. Orczyk wyłamywał nerwowo grube paluchy. Na czole miał gęste krople potu. Tylko Szef spokojnie obserwował wysiłki Ślusarza. Był może tylko trochę bledszy niż zwykle. Nie, jednak i on jest zdenerwowany. Szczęki poruszają mu się miarowo jakby coś żuł.

Do diabła, co za idiotyczna sytuacja. Siedzę jak widz w teatrze i czekam na dalszy ciąg. Żeby to choć nie trwało długo. Rozległ się cichy trzask, Ślusarz podniósł głowę i powiedział z triumfem:

— Otwarte.

Szef ostrożnie otwiera drzwi. Ale mają szczęście łobuzy. Drzwi otwierają się w stronę naszego pokoju. Już widać kilim zasłaniający przejście do mieszkania państwa Zyberów. Wisi luźno, wystarczy go tylko podnieść. Wślizgują się po kolei, najpierw Ślusarz, potem Misiek, na końcu Szef. Ten ostatni odwraca się i mówi do Orczyka:

— W razie czego wiesz, co masz robić?

Orczyk kiwa głową. Zostajemy sami. Ja siedzę na tapczanie, Orczyk stoi obok zagradzając mi drogę do przedpokoju.

Jak to długo potrwa? Boże, żeby ktoś przyszedł, zadzwonił, choćby listonosz... Co to? Kilim zasłaniający drzwi poruszył się. Misiek uniósł go w górę i wrzucił do pokoju jakiś tobół. Ładna historia, tobół jest ogromny, oni chyba mają zamiar wynieść wszystkie rzeczy Zyberów. Orczyk poruszył się niespokojnie.

— Ale kupa klamotów, co? — zerknął na mnie ukradkiem. — Ładną harmonię brudasów zafasujemy.

— Sam jesteś brudas — mruczę z pasją.

— Czego się wściekasz? — Orczyk jest zdziwiony. — Szef o tobie nie zapomni. Dostaniesz swoją dolę...

— Zwariowałeś?! — zrywam się z tapczanu i zaciskam pięści. — Nic nie wezmę, nie jestem złodziejem. Gdyby nie te wszystkie draki, w któreście mnie wkopali, nie siedziałbym tu tak spokojnie.

— Jakie draki? — dziwi się Orczyk. — Chodzi ci o to głupie pióro?

— Nie tylko — mruczę ponuro — zapomniałeś o Jacku? Przeze mnie dostał wstrząsu mózgu i leży w szpitalu. To gorsze niż długopis...

— Co ty gadasz? — Orczyk ze zdumienia przestał ogryzać paznokcie.

— Nie udawaj głupszego niż jesteś — warczę z wściekłością — niby nie byłeś razem ze wszystkimi na tym podwórku?

— Byłem — mówi Orczyk mrugając tępo powiekami — ale ten chłopak, cośmy go ocucili wodą, nazywa się Wojtek i dziś rano widziałem go na ulicy. Wcale nie leży w szpitalu.

— Jak to? — zrywam się z tapczanu i chwytam Orczyka za ramię. — Więc to nie ten sam? Wojtek, a nie Jacek?

— Siadaj — Orczyk odpycha mnie z taką siłą, że padam na tapczan. — Szef kazał, żebyś się nie ruszał.

No tak. Mogłem się tego spodziewać. Szef mnie okłamał. Wykorzystał przypadkowy zbieg okoliczności, dowiedział się od gosposi, że w nocy kogoś zabrało Pogotowie i wmówił mi, że to ja jestem winien. Taki ty jesteś, Szefie. Dobrze. Jeszcze nie wszystko stracone. Jeszcze mogę wam pokrzyżować plany. Zgodziłem się zrobić to świństwo, bo myślałem, że nie mam innego wyjścia. Ale teraz...

Siedzę bez ruchu na tapczanie i myślę gorączkowo. Jak się stąd wydostać? Wystarczy, żebym wybiegł na schody i narobił krzyku. To ich powinno spłoszyć, w kamienicy na pewno są jacyś dorośli, usłyszą i wezwą milicję. Tylko ten Orczyk... Nie dam rady, jest cholernie silny... A zresztą na pierwszy odgłos walki wpadną tamci. Tu trzeba sprytu, a nie pięści...

Błądzę wzrokiem po pokoju, nic nie przychodzi mi na myśl, a czas ucieka. Nagle... mam. Dziś rano mama spieszyła się do pracy i zostawiła na stole otwarte pudełeczko pudru. Wystarczy sięgnąć ręką.

Zrywam się z tapczanu, chwytam pudełko i całą zawartość sypię Orczykowi w oczy. To trwa sekundy, Orczyk kicha, krztusi się, jest oślepiony i bezradny. Odpycham go z łatwością, biegnę do przedpokoju, tylko spokojnie, muszę zdążyć wyskoczyć na schody. Na szczęście zamek nie zacina się, już jestem za drzwiami i krzyczę z całych sił:

— Milicja! Na pomoc! Złodzieje!

Pędzę po schodach w dół i nagle ktoś zastępuje mi drogę. Na śmierć zapomniałem. To Saksofon stoi na warcie. Odpycham go z całych sił nie przestając krzyczeć. On usiłuje mi zasłonić usta ręką, drugą bije w kark. Co za ból! Robi mi się ciemno w oczach, ale walczę dalej. Nagle czuję potężne kopnięcie w kolano, padam i zaczynam staczać się po schodach w dół.

O jak boli! Twarde stopnie obijają mi boki, głowa podskakuje niczym piłka. Robi mi się jakoś dziwnie, słyszę cienki wysoki gwizd, to nie syrena, nie milicja... coraz ciemniej w oczach... jak przez mgłę słyszę czyjeś słowa:

— Co się tu dzieje do cholery... kogoś napadli... włamanie... zadzwońcie po karetkę...

Ostatkiem sił otwieram oczy, widzę ludzi biegnących schodami, ktoś podnosi delikatnie moją obolałą głowę, czuję na policzku ciepłą kroplę. To Ewa klęczy przy mnie, coś mówi, nie rozumiem ani słowa, ale widzę, że ona płacze...

Chcę powiedzieć, że nie pomyliła się, że Orczyk nie wygra dwóch paczek żeglarzy, że Elegancki pokazał, co potrafi, ale nie mogę otworzyć ust.

Cdn.

PRZYGODY PANA PASKA

Pan Pasek jest ciągle w wojsku, w obozie pod Kozieradami. Wyprawiono właśnie Mikołaja Skrzetuskiego na podjazd, bo słyszano, że nieprzyjaciel blisko. Udało mu się zagarnąć chorągiew moskiewską. Powracając do obozu, dla odpoczynku stanęli pod wsią. Ludzi z pojmanej chorągwi strzegła warta, inni pokładli się spać. Byli też tacy co poszli do pobliskiego dworu rabować żywność, strzelali. Słysząc strzały podjazd się potrwożył sądząc, że to nieprzyjaciel. Łukasz Wolski, Rawianin, jako i Pasek, uciekł do obozu siejąc popłoch.

Rysunki MIECZYSŁAW KOSCIELNIAK

Scenariusz BARBARA TYLICKA

Rewolucja w kolejnictwie

Koło idzie do lamusa

Próbne jazdy pod Paryżem

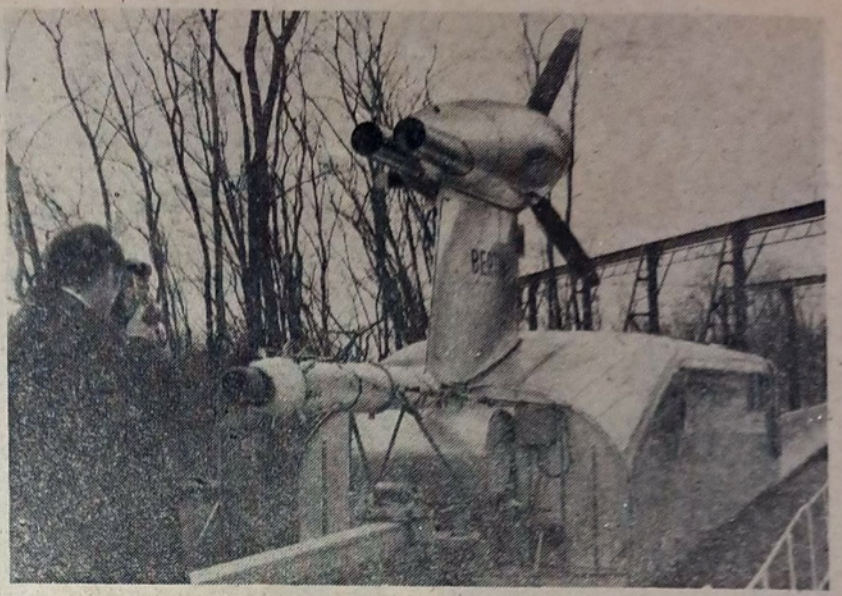

Fot. CAF

FRANCUSKI POCIĄG

na powietrznej poduszce

Całe nieszczęście zaczęło się od wynalezienia koła. Aczkolwiek w przeszłości było ono jednym z największych zdobyczy ludzkości, dziś staje się przeszkodą w rozwoju transportu. Koło znakomicie spełnia swoje zadanie, jeśli prędkość poruszającego się pojazdu nie przekracza 100 km/godz. Przy większych szybkościach drogi muszą posiadać idealną powierzchnię. Odnosi się to również do pociągu, którego wagony toczą się przecież po stosunkowo równych szynach.

Najpierw trzeba było zbudować drogę, nad którą mógłby się poruszać powietrzny pociąg. Jest to równy, betonowy pas trzymetrowej szerokości. Pośrodku pasa wystaje nad poziom belka, również zrobiona z betonu. W przekroju droga ma więc kształt odwróconej litery „T". Pociąg jakby siedzi „okrakiem" na tym betonowym występie. Dodatkową stabilność zapewniają wagonowi strumienie powietrza puszczane poziomo na boczne ścianki betonowej belki.

Utrzymanie pojazdu w powietrzu na sprężonej poduszce zabezpiecza kompresor o mocy 150 KM, w każdej sekundzie w kierunku pionowym tłoczone jest pod pojazd 25 m³ powietrza i pod ciśnieniem aż 20 atmosfer. W ten sposób powstaje odpowiednio twarda poduszka powietrzna zdolna unieść cały pojazd na kilka centymetrów nad poziom betonowego pasa.

Koła mamy więc już zastąpione powietrzem. Napędem zaś jest śmigłowy silnik lotniczy umieszczony na dachu pociągu. Można też zastosować silnik odrzutowy. Konstruktorzy francuscy są zdania, że aeropociąg będzie rozwijał prędkość aż 400 kilometrów na godzinę. Nawet w dobie samolotów odrzutowych jest to szybkość ogromna. Na dystansach krótkich i średnich, pociąg na powietrznej poduszce będzie najlepszym i najtańszym środkiem transportu.

DOŚWIADCZENIA POD PARYŻEM

W tej chwili zbudowany jest już eksperymentalny aeropociąg średniej wielkości. Próbne jazdy trwają w miejscowości Gometz La Ville na południe od Paryża. Betonowa droga ma długość 6 km, szerokość — 180 cm, a wystająca belka — 55 cm wysokości (patrz foto). Największa szybkość, jaką osiąga eksperymentalny pociąg, wynosi 200 km na godz. Dwukrotnie mniejsza prędkość od planowanej wynika stąd, że zainstalowano dwa razy mniejszą moc silników. W kabinie może zasiąść 4 pasażerów, kierowca i inżynier.

Pierwsi pasażerowie, którzy jechali już doświadczalnym aeropociągiem, opowiadają, że podróż na powietrznej poduszce jest wspaniała. Nie czuje się żadnych wstrząsów, drgań, tak jakby się płynęło po spokojnej wodzie.

Pierwszy udany krok został już zrobiony a teraz należy oczekiwać budowy aeropociągu, już w skali normalnej, użytkowej.

ST. BOROWIECKI

Świecące morze

W wielu relacjach podróżniczych napotkać można pełne zachwytów opisy świecenia morza. Słynny uczony Darwin, który oglądał to zjawisko, płynąc przez Atlantyk wzdłuż brzegów Brazylii, pisał w swoim dzienniku:

„Morze jarzące się intensywnie przedstawia wspaniały i przepiękny widok. Każda cząstka wody, widziana w dzień jako piana, żarzyła się bladym światłem. Statek toczył u dziobu dwie fale żywego fosforu, a jego strumień nadążający zraczył się mleczną smugą".

Świecenie morza wywołane jest przez fosforyzujące mikroorganizmy, bakterie, zbite w kolonie malutkie żyjątka planktonowe, a także przez pewne gatuki meduz, osłonic i małży. To fascynujące zjawisko bywa jednakże niekiedy sygnałem złowróżbnym. Oto np. przy niektórych wybrzeżach Pacyfiku woda od czasu do czasu zaczyna miotać ognistymi świetlikami. Oznacza to pojawienie się pewnych drobnych, ale bardzo jadowitych roślinek, które zatruwają plankton, zarażając z kolei ryby i skorupiaki. Spożycie zatrutego w taki sposób pokarmu morskiego ma dla człowieka skutki zbliżone do działania strychniny.

Wiedzieli o tym z dawien dawna Indianie i gdy tylko fale zaczynały rzucać owe czerwonawe odblaski — specjalne posterunki nadbrzeżne ostrzegały ludność przed zbieraniem małży i połowem ryb. (JK)

SPRÓBUJ ROZWIĄZAĆ

Łamigłówka sportowa

Połączcie każdą sylwetkę sportową z właściwym sprzętem dla danej dyscypliny sportowej (cyfra plus litera).

Rozwiązania należy przesyłać w terminie dziesięciodniowym od daty ukazania się numeru z dopiskiem na karcie pocztowej lub kopercie: „Spróbuj rozwiązać".

Za trafne odpowiedzi będą rozlosowane nagrody książkowe.

Uwaga! Redakcja nie odpisuje na listy zawierające tylko rozwiązanie rozrywek umysłowych.

Rozwiązanie wirówki z nr 63

WYRAZY: szabla, bluzka, kamasz, matura, turnie, kalina, kredka, rapier, parkan, kaszka, kalosz, bryzol, ryksza.

Nagrody książkowe wylosowali: ROMAN BRANKOWSKI — Lubań Śląski; MAŁGORZATA HERTZ — Szczecin 6; JAROSŁAW KWIATKOWSKI — Gdańsk; MARZENIA LEWACIŃSKA — Skarżysko Kamienna; GRAŻYNA MAŁKOWSKA — Warszawa; JERZY MIECZNIKOWSKI — Elbląg; ZUZANNA NOWAK — Gniezno; JERZY SERWACKI — Zawoja 129; MARIA STASIEWSKA — Inowrocław; RYSZARD ZIĘBA — Sikorka 38.

„Świat Młodych" GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. Redaguje zespół. Red. nacz. JANUSZ DOMAGALIK, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-77-21. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA" RSW „Prasa", Warszawa, ul. Bagatela 14. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4,00, kwartalna 12,00. Wpłaty przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", Warszawa, ul. Wronia 23 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.
Zam. 1174 T-47

Adres redakcji
WARSZAWA
ul. Mokotowska 24